

HANS VON
TROTHA

Ramię Pollaka

POWIEŚĆ

Tłumaczyła
Anna Arno

Wydawnictwo Próby

Ładna pogoda też by niczego nie zmieniła.

Oczywiście ma pan rację. Oficer ss nie kieruje się pogodą. Raczej pogoda zmienia się według niego. Powiedział pan to przedtem *à propos* Goethego, prawda?

Owszem.

Może wolałby pan to wszystko spisać? Jeśli tak, to pana z tym zostawię. Może pan korzystać z tego pokoju tak długo, jak pan zechce. Nikt nie będzie panu przeszkadzał. Tu, w Watykanie, czasu mamy zawsze pod dostatkiem.

Mały pokój na parterze. Niewiele światła wpada przez duże, dwuskrzydłowe okno. Lampa bankierska z czarnym metalowym kloszem oświetla klawiaturę masywnej maszyny do pisania. Nad wózkiem błyszczą złote litery „Remington”. W maszynę wkręcona jest niezapisana kartka.

Przy maszynie siedzi K., naprzeciwko niego Monsignore F. Jest późne popołudnie 17 października 1943 roku. K., nauczyciel gimnazjalny z Berlina, który utknął w okupowanym Rzymie i znalazł schronienie w Watykanie, stawiał się w skąpo urządzonej rozmównicy

w budynku w pobliżu Campo Santo Teutonico, gdzie oczekiwał go Monsignore F., emerytowany prałat, dawniej zatrudniony w papieskiej służbie dyplomatycznej, doskonale mówiący po niemiecku, bez wyczuwalnego włoskiego akcentu. K., sztywny i bladej, zdaje się spięty. Wygląda na zmęczonego. Błękitne, szeroko otwarte oczy wydają się nieproporcjonalnie duże w wąskiej twarzy o napiętej, jasnej skórze. Monsignore pyta K., czy chce opowiadać, czy woli pisać. Raczej opowiadać, mówi K., ale nie umie, nie wie, od czego zacząć.

Zdać sprawę. Pollak zawsze to powtarzał. Że trzeba dać świadectwo. Jakie to ważne, żeby opowiadać, przekazywać nasze historie. Dlatego nie pozwolił mi odejść. To była moja szansa, mówi K. Nie wiem, mówi dalej, bez tchu, dlaczego przychodzi mi do głowy akurat Dreyfus, dlaczego myślę o sprawie Dreyfusa. Może dlatego, że na wspomnienie Dreyfusa Pollak zaczął mówić o swoim dzienniku. Być może także dlatego, że nigdy przedtem nie myślałem o tym, że wyrok na tak jawnie niewinnego żydowskiego oficera Alfreda Dreyfusa, skazanie go za zdradę ojczyzny z tak otwarcie antysemitycznych pobudek nie tylko podzieliło francuskie społeczeństwo, ale było także polickim dla europejskich Żydów, a wraz z nimi dla wszystkich liberałów.

Monsignore kiwa głową. Byłem wtedy w Paryżu, mówi. Émile Zola został skazany i zmuszony do opuszczenia kraju. W gazecie napiętnował fakt, że osoba naprawdę winna w tej sprawie została uniewinniona i jak do tego doszło. Nagłówek krzyczał wielkimi literami „J'accuse. Oskarżam”.

Potem Pollak zobaczył jeszcze Dreyfusa przypadkiem tutaj, w Rzymie, mówi K. Robił na nim wrażenie człowieka złamanego. Trudno się dziwić. Kiedy o tym opowiadał, Pollak stał przy oknie. Za jego plecami za chwilę Rzym pogrąży się w mroku – pomyślałem – a potem zapadnie noc. A noce są dziś w Rzymie bardzo ciemne.

Przypomina sobie doskonale, powiedział Pollak, jak w dzienniku zapisał nazwisko Dreyfus. Wówczas był przekonany, że zważając na materiał dowodowy, Dreyfus musi zostać uniewinniony. Wszyscy byli o tym przekonani. Godnie zamyka się stulecie, zapisał w dzienniku. Patetycznie, nieprawdaz, ale wtedy tak myślał. 1 lipca 1899 roku. Widzi jeszcze siebie zapisującego tę datę czarnym atramentem na kartce, jedyńka, ósemka, dwie dziewiątki. Pollak opowiadał ze szczegółami. Proces w Rennes, oskarżenie o zdradę stanu przeciwko żydowskiemu oficerowi Alfredowi Dreyfusowi. Któż jest w stanie opisać to, co się czuje, zapisał Pollak, gdy sprawiedliwość zwycięża z podłością. Potem wyrok we wrześniu. Pięć głosów na tak, dwa na nie, dziesięć lat więzienia ze względu na okoliczności łagodzące. Chyba po raz pierwszy pomyślał wtedy, że mógłby usunąć kilka stron z dziennika. Ale nie da się przekreślić tego, co było. A to, co się wtedy myślało, jest częścią tego, co było. Zwycięstwo prawdy – to słowa Pollaka – przyszło znacznie później, w 1906 roku.

W tym właśnie roku Pollak opublikował swoje odkrycie, przerywa Monsignore.

Owszem, potwierdza K., *Ramię Laokoona*, krótki tekst, zaledwie kilkustronicowy, skromny i rzeczowy,

nie ma w nim ani słowa o tym, że to ramię zmieniło wszystko.

Tu następuje przerwa. Najwyraźniej Monsignore oczekuje, że skoro o nim wspomniał, K. zacznie mówić o ramieniu. Ale opowieść K. rozwija się bardzo powoli.

Kiedy Wasza Ekscelencja powierzył mi to zadanie – proszę pozwolić, że zauważę, było to właśnie zadanie, nie prośba – przyjąłem je bez głębszego zastanowienia. Nie mogłem się spodziewać, że z mieszkania w Palazzo Odescalchi wyjdę odmieniony. Nie spodziewałem się też, że ta wizyta będzie dla mnie szczególnym wyzwaniem. Zmieniła wszystko. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo mogła się okazać niebezpieczna. W ogóle nie przychodziło mi do głowy, że utknę tam na tak długo. Nie pojechałbym, gdyby to do mnie dotarło. Nie mam zadatków na bohatera. Ma pan oczywiście rację, kimże jest bohater, odpowiada K. na uwagę Monsignore. Tak więc, mówi dalej, w końcu okazało się, że miało to jakiś sens, że nie udało mi się wrócić do Niemiec.

Sytuacja w Rzymie, a tym samym również w Watykanie, zaostriżyła się, odkąd 8 września Włochy skapitulowały przed aliantami i tym samym zerwały zobowiązania wobec Niemiec. Niemcy przejęli teraz pełną kontrolę nad miastem. Po raz pierwszy od 20 września 1870 roku, kiedy podczas walk o Watykan Rzym został zajęty przez Włochów, bazylika Świętego Piotra została na kilka dni zamknięta. Ze strachu przed Niemcami wiele osób szukało schronienia w Watykanie, więcej niż do tej pory. Zostały tu nawet, bez żadnego uprzedzenia, przewiezione królewskie wnuki. Przy ciągłym zagrożeniu bombardowaniami wielu z tych, którym

nie udało się dostać do Watykanu, gromadziło się wokół Świętego Piotra, w nadziei, że cień bazyliki w razie konieczności zapewni im schronienie. Od 9 września żołnierze gwardii szwajcarskiej nosili nowoczesną broń. Nieliczne pojazdy, które wyjeżdżały teraz z Watykanu, zwykle prędko wracały.

To Ekscelencja pierwszy to powiedział. Później prawie się wstydzilem, że mogło mi się wydawać, że po prostu wsiądę do pociągu i pojedę do domu. Zresztą nie dojechałbym aż do domu. Od czasu KLV – proszę mi wybaczyć, w Niemczech używa się teraz wielu akronimów – KLV znaczy *Kinderlandverschickung*, wysyłanie matek z dziećmi poza miasta ze względu na bombardowania. Dla nas, nauczycieli, oznacza to puste szkoły. Dlatego nie będą na mnie czekać w Berlinie, tylko na prowincji, na południu kraju. Nie tak daleko stąd. I właśnie dlatego wydawało mi się, że to może się udać. Podobno szyny na północ są w zaskakująco dobrym stanie. Najwyraźniej są w użyciu. Poza tym nie wiedziałem, gdzie się zatrzymać, gdzie można się w Rzymie poczuć pewnie, na tyle, na ile to możliwe w dzisiejszych czasach. Będę Ekscelencji dozgonnie wdzięczny za ten pokój gościnny, który Ekscelencja załatwił dla mnie w Watykanie. Tutaj jesteśmy bezpieczni. Prawda? Tym większym wydaje się szaleństwem, że tyle czasu spędziłem u Pollaka. Szalone, a jednak to najważniejsza rzecz, jaką dotąd zrobiłem w życiu.

Monsignore, niegdyś wysoki, teraz już przygarbiony, ale wciąż emanujący energią, siedzi w fotelu, plecami do drzwi, przy biurku z ciemnego drewna, które najwyraźniej od dawna jest wyposażeniem tego pokoju. Nauczyciel siedzi w podobnym, choć nie identycznym

fotelu, a między nimi stoi maszyna Remingtona. Obok maszyny i pojemnika na przybory biurowe ze starej skóry leży opakowana w brązowy papier pakowy płaska, prostokątna paczuszka, wyglądająca jak oprawiony obraz. Spod spodu wystaje cienki plik niezapisanych kartek. Cóż to za drewniany budynek, który postawiliście na białej linii na placu Świętego Piotra? – pyta K. Czy to powód do niepokoju?

Monsignore uspokaja K., to jest budynek dla niemieckich żołnierzy, którzy od 13 września pełnią służbę przy namalowanej przez pracowników Watykanu białą farbą linii demarkacyjnej. Nawet Niemcy nie mają prawa jej przekraczać. I nawet niemieccy żołnierze, mówi Monsignore, są ludźmi.

Teraz zdałem sobie sprawę, mówi K., że przez cały ten czas źle sypiałem. Dopiero odkąd budzę się w Watykanie, znów mogę spać. Rzym zrobił się taki bazylijszkowaty. Szczególnie nocą ma się wrażenie, że miasto tkwi w mackach jakiejś potężnej, nieobliczalnej bestii. Pollak też tak powiedział, trochę inaczej, ale coś podobnego. Leży tu potwór, na pozór spokojny, ale w każdej chwili gotowy do skoku. A każdy potwór w końcu atakuje. To leży w jego naturze. My, którzy znaleźliśmy schronienie w Watykanie, czujemy ulgę i wdzięczność za każdym razem, gdy przychodzimy do domu, który niemiecka ambasada oznakowała jako należący do Watykanu. To jak magiczne zaklęcie powstrzymujące potwora. Kto się tu znajduje, ma prawo czuć się bezpieczny.

Dla mnie był zawsze jak księga zamknięta na siedem pieczęci. Robił wrażenie. Niezwykły człowiek, jak to się mówi. Ale było w nim też coś nieprzystępnego, jakieś namaszczone dostojęństwo, które okazywał

we wszystkim, co robił i mówił. Zawsze trochę mnie onieśmiał. A przy tym, jak Jego Ekscelencja wie lepiej ode mnie, jest wcieleniem życzliwości, przynajmniej zazwyczaj. Potrafi być też ostry, cięty. Wtedy szczególnie uważnie dobiera słowa. Zawsze bardzo świadomie posługiwał się językiem, tą ujmującą, ciepłą, lekko drżącą, śpiewną niemczyzną, w której pobrzmiwa stara Austria, Praga, ale od dawna również Rzym.

Być może onieśmielający jest również mit, legenda Ludwiga Pollaka. Taka aura nie tylko promieniuje od człowieka, ale też udziela się każdemu, kto stanie z nim twarzą w twarz. Spotykałem go nieczęsto, zaledwie kilka razy, i to już jakiś czas temu. W drodze na Piazza Santi Apostoli starałem się sobie przypomnieć te spotkania. Doskonale potrafię przywoływać wydarzenia z przeszłości. Na tym polega również mój zawód nauczyciela, który zmusza mnie, by przedstawiać sprawy w sposób przystępny dla innych. W samochodzie zrozumiałem, jak mało było tych spotkań. Niewiele wiedziałem o Pollaku. Wiedziałem, że ze względu na to ramię jest związany z Watykanem. Ale, jak teraz wiem, nie tylko ze względu na ramię.

Monsignore słucha w skupieniu, dłonie ma złożone i lekko przyciska do siebie opuszki palców. Od czasu do czasu, nie zmieniając postawy, kładzie łokcie na stole i opiera podbródek na palcach wskazujących tak, że czubki środkowych palców leżą na wargach. Tylko od czasu do czasu wtrąca krótki komentarz czy pytanie.

Jest niższy, niż go zapamiętałem, drobny i łysy, mówi K. Nie nosi już brody, tylko same wąsy. Na początku nie wiedziałem, co powiedzieć. Czulem się tak, jakbym

wyszedł z siebie i stał obok, jakbym tylko oglądał, a nie przeżywał tę scenę. Obaj panowie jeszcze byli w mieszkaniu. Tak, już tam byli, kiedy wszedłem do Palazzo Odescalchi. Jeden z nich zaraz potem wyszedł. Jak mi się wydawało, w pośpiechu. Czy to ważne? Ma nazwisko na M, dwusylabowe. Mohren albo coś w tym rodzaju. A może Mohnen. Ten drugi to był profesor Volbach. Nie zna pan Volbacha? Profesor Wolfgang Fritz Volbach. On też znalazł schronienie w Watykanie, już dziesięć lat temu. Z rozmowy wywnioskowałem, że profesor Volbach został poinformowany przez tego drugiego mężczyznę, który wychodził, kiedy przyszedłem. Ale oni chyba nie przyszli razem. I razem nie wyszli. Mohnen, tak, tak się nazywał ten drugi. Teraz jestem tego niemal pewny.

Wilhelm Mohnen, dopowiada Monsignore. Nie wiemy, co o nim myśleć. Pracuje dla niemieckiej ambasady tutaj, w Rzymie, prawdopodobnie również w Paryżu, chyba nie do końca oficjalnie. Niczego o nim bliżej nie wiadomo. Handluje dziełami sztuki. Na tym wyraźnie się zna i jest ceniony, zatrudniają go różni ludzie, ale trudno mi powiedzieć kto. Dlatego wie doskonale, kim jest Ludwig Pollak. Może dlatego postanowił zawiadomić profesora Volbacha i samemu przyjechać do Palazzo Odescalchi.

Zobaczył mnie, ale nie zwrócił na mnie uwagi, powiedział K. Wyszedł z mieszkania ze słowami: „Panie radco, to my się już nie zobaczymy”. Profesor Volbach też nie został długo. Tu, w Watykanie, spotykałem go częściej, a przedtem raz czy dwa razy w muzeum w Berlinie. Pracował w Kaiser-Friedrich-Museum. W '33 go wyrzucili. Ma matkę Żydówkę. Przy tym jest katolikiem, bardziej niż ja. Opowiadał mi, że już

dziadek jego matki przeszedł na protestantyzm, a potem matka z protestantyzmu na katolicyzm. Można być bardziej zdeklarowanym chrześcijaninem? Ale na nic mu się to nie zdało. Jakimiś drogami, nigdy nie pytałem jakimi, doszedł do posady w Museo Sacro. Od 1934 przebywa w Rzymie. Dlatego myślałem, że Jego Ekszelencja może go zna. Ale Jego Ekszelencja też długo bawił za granicą.

O ile dobrze zrozumiałem, Volbach też jest odpowiedzialny za katalogi Museo Sacro. Ta pasja katalogowania, teraz to do mnie dociera, kiedy o nim opowiadam, łączy go z Pollakiem. Volbach opowiadał mi kiedyś, że sporządził katalog zbiorów Kaiser-Friedrich-Museum, a potem, wściekły, że go zwolnili, wrzucił go do Sprewy. Muzeum stoi przecież na wyspie. Kipiał jeszcze ze złości, kiedy mi to opowiadał. Ale był też dumny.

Volbach był wyraźnie wzburzony, trzeba wręcz powiedzieć zdesperowany. Dopiero potem zrozumiałem dlaczego. Panowie nie usiedli, co znaczy zapewne, że przyszli do Palazzo Odescalchi krótko przed moim przyjściem. Profesor Volbach stał w płaszczu, z kapeluszem w dłoniach. Cały czas miętosił go w palcach. Ja stałem przy drzwiach. Volbach wyciągnął rękę do Pollaka, pośpiesznie opuścił pokój i zaraz potem mieszkanie. Przechodząc, pozdrowił mnie skinieniem głowy. Wy powiedziane przez tamtego słowa „my się już nie zobaczymy” odbijały się jeszcze echem, tak jakby Volbach powtórzył je przy pożegnaniu. Ale zdaje mi się, że nie powiedział słowa. Zostałem z Pollakiem sam na sam. Jak by nie było poznał mnie od razu i zaprosił do środka.

Nie wiedzieć, jak skończy się podróż – powiedział – to nie powód, żeby nie ruszyć w drogę.

Być może jakaś moja wcześniejsza uwaga zmusiła go do repliki. A może nawiązywał do wypowiedzi jednego z panów, za którymi zamknęły się drzwi. Potem dodał swoje ulubione „nieprawdaż”, które wypowiadał z naciskiem na „nie”.

Akurat ta podróż, odparłem, wiemy, jak się kończy. Dlatego tutaj jestem.

Co naprawdę przyniesie przyszłość, powiedział na to Pollak, tego, za pozwoleniem, nie wie nawet sam przełożony tych, którzy pana przysłali. Nie obchodzi go czas bieżący – dodał – dopiero to, co nastanie potem. I to nie dla mnie. Chociaż –

Nie skończył zdania.

Ale proszę, niech pan przekáže wszystkim w Watykanie, że jestem wdzięczny. Tak, powiedział, to dla mnie poruszające, że pana przysłali.

Mówiłem, że trzeba się śpieszyć, że powinien się przygotować. Nie reagował. To mnie niepokoiło. Byłem pewny, że zaraz zawoła rodzinę i będą się zbierać. Tymczasem on po prostu stał, wyprostowany i zmęczony. Wtedy dopiero zauważyłem, jak się postarzał. Nadal imponująca postać, z przenikliwymi oczami, którymi długo, uporczywie potrafi ci się przyglądać. Ale przy tym wydaje się boleśnie osłabiony. Ile ma lat? Myślę, że koło siedemdziesięciu pięciu. Tak, coś koło tego.

Musimy czym prędzej jechać do Watykanu. Pan, pańska żona, córka i syn. Wystarczy zejść na dół. Samochód czeka.

Zamknął oczy. Wspomnienie rodziny, zapewne śpiącej gdzieś w sąsiednich pokojach, bo było cicho jak makiem zasiał, najwyraźniej sprawiło mu przykrość.

Musimy się śpieszyć, powiedziałem po kolejnej pauzie, która wydała mi się długa. Po tej chwili milczenia

mówiłem ściszym głosem. Nie wiemy – dodałem, aby dodać mocy mojemu ponagleniu – nie wiemy, kiedy przyjdą.

Ani czy przyjdą, odparł ku mojemu zdumieniu. Zignorowałem tę uwagę. Naprawdę nie miałem ochoty zaczynać dyskusji o tym, jak niebezpieczne było jego położenie, a teraz razem z nim i moje, co właśnie do mnie dotarło. Wyobrażałem sobie, co się stanie, kiedy oddziały plądrujących żołnierzy ss, uzbrojonych w listę, którą dostali na drogę, dojdą do adresu Palazzo Odescalchi i zastaną mnie w mieszkaniu. Było to mało prawdopodobne, tego byłem pewny, ale kiedy taka myśl raz już wejdzie do głowy, natychmiast się załęga i przenika całe ciało. Powiedziałem, że teraz to może nastąpić w każdej chwili. Raz jeszcze, tym razem głośno, powiedziałem, żeby przygotował się do wyjścia, tak żebyśmy mogli ruszyć, i to szybko. W przeciwnym wypadku narazi siebie i rodzinę na poważne niebezpieczeństwo. A do tego jeszcze i mnie, dodałem, tym razem ciszej. Nie wiem, czy to usłyszał.

Zawsze się cieszę, powiedział, kiedy oni śpią. Widzi pan, nie mamy wielu powodów do czuwania. Oni może jeszcze mniej niż ja. Ja mam przynajmniej wspomnienia.

Nadal stałem przy drzwiach. To naprawdę wspaniały pokój, zaraz przy wejściu do mieszkania na pierwszym piętrze palazzo. Basilica Santi Apostoli po drugiej stronie, widać korytarz otwarty na dalsze pokoje. Przystań skromna tylko na pierwszy rzut oka, a tak naprawdę dumna, a przy tym dyskretnie elegancka. Nie był pan tam? Widywał się pan z nim tylko tu, w Watykanie, albo w muzeum?

Przez okna widać bazylikę po drugiej stronie ulicy, która między pałacem a kościołem poszerza się

i zmienia w plac. Im dokładniej się człowiek przygląda, tym bardziej sobie uświadamia, że wszystko, naprawdę każdy szczegół mieszkania jest wyszukany. Kasetonowy sufit nadaje pomieszczeniu wielkopański charakter. Kafle na podłodze, w każdym pokoju nieco inne, jak często bywa w rzymskich mieszkaniach, stanowią lżejszą przeciwwagę dla ciężkiego sufitu. To jest niewątpliwie mieszkanie kolekcjonera. Na ścianach, w szafach, na etażerkach znajduje się wiele przedmiotów z jego kolekcji, jest też biblioteczka pełna cennych foliów. Zauważyłem jednak sporo pustych miejsc, luki na regałach, na ścianie plamy w miejscu, gdzie kiedyś wyraźnie coś wisiało, ciemne cienie tam, gdzie kiedyś coś leżało, kontury tam, gdzie coś stało. Rzuciła mi się w oczy delikatnej roboty witryna, okolona portretami kobiet w różnych stylach, w której najwyraźniej trzymał szczególnie wartościowe obiekty. Tam też widać braki. Tuż obok, w jednym z rogów, na lewo od przejścia, z którego można było zajrzeć do kolejnego pokoju, na postumencie stała starożytna rzeźba, w kontrapoście, pozbawiona prawego ramienia.

Wydawało się, że obserwuje, jak się rozglądam, mniej dyskretnie, niż mi się wydawało.

Proszę się rozejrzeć, powiedział. Kto wie, jak długo będziemy mogli tu zostać? Po chwili niby słabnące echo własnych słów dodał, kto wie, jak długo w ogóle będziemy.

Ludzie już od dłuższego czasu do nas nie przychodzą. Wiedzą, że mówię, co myślę. Dlatego przestali przychodzić, ze strachu, że dotrze to nie tylko do ich uszu.

Ładnie tu jest, ciągnął dalej. To już wiemy. Nawet bardzo ładnie. Trzeba być wdzięcznym. Ale to

nic w porównaniu z tym, co było kiedyś. Proszę mi wybaczyć lekceważący ton i pobrzmiewającą w nim niewdzięczność, ale różnica jest naprawdę ogromna. Tutaj jest ładnie, ale to nic w porównaniu z Palazzo Bacchettoni. To mieszkanie i cały Palazzo Odescalchi to jest taki świat w najlepszym wydaniu. Palazzo Bacchettoni to był po prostu raj, niezależnie od tego, w jakiego boga pan wierzy. Mieszkaliśmy tam od 1903 roku. Margarethe, moja pierwsza żona, ja i dzieci, wtedy jeszcze małe. Najstarszy, Wolfi, urodził się rok przed naszą przeprowadzką do pałacu. Kiedy skończył dziesięć lat, zacząłem mu pokazywać Rzym. Tuż po dziesiątych urodzinach poszliśmy do San Pietro in Vincoli, tego kościoła, koło którego znaleźli *Laokoona*. Tam pokazałem synowi Mojżesza, a potem całe miasto. Moje miasto. W każdym razie kiedyś było moje. A Angelina urodziła się w Palazzo Bacchettoni.

Na wspomnienie córki oczy zaszyły mu łzami. Nie otarł ich, pozwolił, by spływały po policzkach. Stał, wyprostowany jak struna, i płakał.

Urodziła się w Palazzo Bacchettoni, powiedział ledwie dosłyszalnym szeptem, a w Palazzo Odescalchi zmarła.

Pewnie Jego Ekscelencja wie, że jedna z córek Pollaka, ta młodsza, zmarła kilka miesięcy temu. Od dawna chorowała na gruźlicę.

Palazzo Bacchettoni, mówił dalej Pollak – trwało dłuższą chwilę, zanim opanował wzruszenie, ale grzeczność nie pozwalała mi wykorzystać tej okazji, aby coś wtrącić – Palazzo Bacchettoni nazywał się najpierw Palazzo Alberoni all'Angelo Custode. Co za nazwa, powiedział Pollak i powtórzył, all'Angelo Custode.

Jak bardzo potrzebujemy anioła stróża. Wtedy nawet nie przychodziło człowiekowi do głowy, jak bardzo może być potrzebny. Wówczas jeszcze nie był. Tak nam się przynajmniej zdawało. Póki się jest młodym, to tak się wydaje. Wszelkie niebezpieczeństwo jest jeszcze daleko. Nieprawdaż. Ale jak się człowiek starzeje, w dodatku świat zwraca się przeciwko niemu, ten świat, który był jego domem albo w którym czuł się jak w domu, kiedy nic nam nie pozostaje, jak tylko patrzeć na to, co się dzieje dookoła i do czego to prowadzi, wtedy przypominamy sobie o naszym aniele stróżu. I mamy nadzieję, że także on się obróci i sobie o nas przypomni. Ale chyba po prostu aniołów już nie ma. Odfrunęły. Pospadały. A jeśli nie, to gdzie się podziały?

Po moich *angeli custodi* dawno nie ma śladu, powiedział. Nie od razu się to zauważa, dopiero jak się swojego anioła wzywa i nie ma odpowiedzi, ani od razu, ani później, ani nigdy. Zostały wypędzone, tak jak ja i moi bliscy, musieliśmy zrobić miejsce, żeby mogli urządzić lepsze budynki dla senatu. 153, Via Tritone. To był nasz adres. Mieszkanie było piękne, ale potem –

Zrobił coś w rodzaju teatralnej pauzy, dla większego efektu. Często mu się to zdarza.

Po dziesięciu latach mieszkania przebiliśmy się przez zamurowane drzwi i dodaliśmy jeszcze jedno pomieszczenie. Najładniejszy był mój pokój, właściwie sala, z freskami Giovanniego Paolo Panniniego na sklepieniu. Po raz pierwszy od czasów Pragi miałem dom. Jako człowiek, ale też jako kolekcjoner. I jako ojciec. I jako rzymianin. Rzymski kolekcjoner z rodziną w swoim fantastycznie udekorowanym freskami gabinecie. Teraz już wiem, co to jest szczęście, jak

wiele potrzeba, by takie szczęście odczuwać, a może właśnie jak niewiele. I jakie jest ulotne. W tej sali dane mi było żyć i pracować. I prowadziłem księgę gości. Przyjąłem tam stu osiemdziesięciu trzech kolekcjonerów, nigdy nie zapomnę tej liczby, zbieraczy z całego świata, spotkania w gronie wtajemniczonych. Sam pan rozumie.

To nie było pytanie.

Kiedy wieść zaczęła krążyć, najpierw nie mogłem uwierzyć, że cały kwartał kamienic ma zostać zburzony. Cały kwartał, złościł się jeszcze po latach, razem z palazzo. Zburzony. Dla senatu. Moją salę, powiedział Pollak, w końcu nawet zachowali w nowym budynku senatu. Ale czym jest, pytał, taka sala wyrwana z domu, do którego należała? Wiem, o czym mówię. Wiem, jakie to uczucie stracić poczucie przynależności do miejsca, w którym człowiek przebywa, albo też nie przebywać w miejscu, do którego się należy, bo tego miejsca już nie ma. Wiem, jak to jest, kiedy się traci fundament. Jak wówczas trudno mocno stać na nogach, w ogóle jeszcze się trzymać i innym zapewniać schronienie. Wręcz trudno to sobie wyobrazić. To trzeba przeżyć. Ale lepiej nie. Nie życzę tego nikomu.

Mówi, że tam nie wracał i nie wie, jaki klimat ma sala w nowej, obcej oprawie. Zresztą nie chce wiedzieć. Otoczenie kształtuje przedmioty w znacznie większym stopniu, niż się ludziom wydaje. Sala musiała ustąpić, a wraz z nią anioły. Pollak, a z nim jego bliscy, też musieli ustąpić. Stąd ta niewdzięczność, kiedy mówi o Palazzo Odescalchi. Lepsze jest wrogiem dobrego, nieprawdaż. Zawsze tak było.

To, co opowiedział, nie jest ściśle, przerywa Monsignore. Sala nie została zachowana, w każdym razie nie jako całość. Freski zdjęto i przeniesiono do jednego z pomieszczeń w nowym budynku. Byłem tam w jakiejś sprawie, ale nie wiedziałem, że to są freski, pod którymi Pollak najwyraźniej przeżył swoje najlepsze lata.

Łzy dawno już wyschły mu na policzkach, mówi dalej K. Ale zdawało się, że wstydzi się pokazać mi swoją naznaczoną cierpieniem twarz. Głos znów miał zadziwiająco mocny. Ten głos, głęboki, o cieplej barwie, potrafi zrobić ogromne wrażenie. Starannie dobiera słowa. Ich oddziaływanie ma dla niego znaczenie. Udane sformułowanie wyraźnie sprawia mu przyjemność. W innych okolicznościach i ja miałbym z tego uciechę. Byłem jednak bezradny, speszony, że w sytuacji, w której się znaleźliśmy, mogła zacząć się ta rozmowa, zupełnie nie na miejscu, tak jakbym wpadł do niego na pogawędkę.